

370ty list Alojza Byli czyli Cudowne hochsztaplerstwo Kazimierza Kutza i Roberta Talarczyka

„Powieść Kutza to hochsztaplerstwo” – powiedział mi ktoś po lekturze książki, a potem po lekturze entuzjastycznych recenzji z premiery spektaklu opartego na „Piątej stronie świata” w reżyserii Roberta Talarczyka. Ssssss.... spięłam się, zachnęłam i zżymnęłam naraz. Po pierwsze, bo się naczekałam w napięciu podsycanym umiejętnie przez Reżysera w miarę odliczania czasu do godziny Zero. Było jasne przecież, że będzie to jedna z najważniejszych sztuk na deskach Teatru Śląskiego i że jest to niemałe obciążenie zarówno dla wszystkich biorących w nim udział, jak i dla tych, co czekają na opowieść o tym, kim są, co spotkało ich ojców, dziadków i co nadal spotyka ich samych tu i teraz, a jest wynikiem niedopowiedzeń, nieporozumień i tajemnic.

Jak sprawa Alfreda Chroboka, którego tajemnica zaważyła na życiu jego przyszłego zięcia. Jak rozmowa z Suchankiem, co nie rozumie ani słowa po naszemu. Jak 369 listów Alojza Byli do brata w RPA, których treści tamten nie chciał nigdy poznać i odesłał nietknięte do Polski. To bardzo wymowny moment w książce i sztuce, wiele mówiący o tym, jak trudno jest rozmawiać, tłumaczyć i wybaczać, jeśli nikt nie słucha i nie chce znać naszej historii. A ktoś musi ją opowiedzieć, żebyśmy pamiętali, co nam się przytrafiło i jak to rozszyfrować, a potem uznać za swoje.

Opowieść, którą snują panowie Kutz i Talarczyk jest seanssem spirytystycznym i terapeutycznym. Na scenie tańczą duchy, pada złoty śnieg, piękna Rebeka kusi dziadka Wawrzka, celtyckie wdowy i Stara Demokracja rządzi, karlusy w słynnej budce zgłębiają mądrości z ksiąg w różnych językach, piękna Izabela święci triumfy w Carnegie Hall, podczas gdy jej ojca dosięga przekleństwo ukrytej historii rodzinnej, a magiczne dźwięki trąbki przenoszą wszystko ponad czasem w wymiar dostępny tylko dzięki muzyce.

Bowiem magii na scenie dostatek. Ktokolwiek wybiera się na ten spektakl by się uchachać założywszy nogę na nogę, niech lepiej zostanie w domu i włączy telewizor. Nie oczekujcie dosłowności. Żadnego tam bifyja na scenie nie ujrzycie ani gagów rodem z biesiady piwnej. Najlepiej w ogóle nic nie oczekujcie i nie zakładajcie niczego. A teraz sama się przyznam: znając metody Reżysera z poprzednich spektakli („Miłość w Koenigshutte” i „Cholonek”) włożyłam ukradkiem do torebki 2 (słownie: dwie) paczki chusteczek, bo tyle wyniosło średnie zużycie podczas udziału w tamtych Wydarzeniach. A tu nic z tego. Znowu siurpryza.

Tym razem do pracy zaprzężnięta została mocniej wyobraźnia i dziecięcy zachwyt opowieścią, sztukami magicznymi, ciepłem bijącym z aktorów i granych przez nich postaci. Nie będę wymieniać nazwisk ulubieńców, bo absolutnie wszyscy zasługują na podziw także za to, że wzięli na swoje barki po kilka ról, kostiumów i odmiennych charakterów, a odtwórca głównej roli – niełatwe zadanie uwodzenia nas narracją przez cały spektakl. Jeśli dodamy do tego pysznie skonstruowane pod względem choreograficznym sceny (nauka alfabetu Morse’a i egzamin na zawiadowcę, na przykład), biegnące ciarkami po plecach momenty z wojną w tle, z wprowadzaniem Volkslisty i rosnącą w oczach mównicą i swastyką, sceny z wesela prowokujące publiczność do wspólnych śpiewów i końcowy taniec jak ze snu w kolorze indygo – to jeszcze nie opiszemy wszystkiego.

Staralam się patrzeć naiwnie, ale trudno mi było nie zauważyć masy pomysłów reżyserskich, scenograficznych, chwilami widziałam odniesienia do najlepszych w moim prywatnym rankingu dzieł jak „The Wall” czy „Rok Diabła”, ale to ma pomniejsze znaczenie. Ważne jest to, że spektakl jest jak 370ty list Alojza Byli, który wreszcie zostaje otwarty i głośno odczytany. By tego dokonać, potrzebny był splot wielu cudownych okoliczności: Autor musiał napisać książkę, Reżyser musiał ją zaadaptować na scenę, znaleźć idealnych współtwórców i dopiero wtedy list mógł dotrzeć do wielu odbiorców. Takie małe cudowne hochsztaplerstwo.

<http://www.teatrlaski.art.pl/aktualnosci.php>

<http://www.teatrlaski.art.pl/przedstawienia/piata.php>